



res  
 sztyh  
 takt  
 skowska Janina  
 ormiki słyskie

2745P AK  
 Wołyn

**DĄBROWSKA Helena**  
 ps. "Flora"

1845/usk

Spis zawartości teczki - 1845/WSK  
Dąbrowska Helena  
ps. „Flora”

I/1. Relacja ✓

I/2. Materiały dokumentujące walkę relatorki o niepodległość  
i stanowiące uzupełnienie relacji

I/3. Materiały uzupełniające relacje, inne niż w punkcie I/2 ✓

II. Materiały dotyczące osoby relatorki —

i jej działalności nie związanej z walką o niepodległość —

III. Inne materiały —

1 - dotyczące rodziny relatorki —

2 - dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

3 - nie związane z okresem II wojny światowej —

IV. Korespondencja bieżąca —

V. Nazwiskowe karty informacyjne ✓

VI. Fotografie ✓ oraz 1/3



## I/1. Relacja:

- Relacja Heleny Dąbrowskiej (... oto następne wspomnienia ... ) opracowana przez Janinę Żmijewską - Maszkowską na podst. posiadanego materiału, 20.08.99r.  
Maszynopis - papier pułbitkowy, z odroczonym dopiskiem autorki. K.4, s. 1-4.



1) 1-1

Wpłynęło dnia 9.8.  
Ldz. 2169/USK/99

Oto następnym wspomnienia dyplomowanej pielęgniarki z bat. "Korda"  
Heleny Dąbrowskiej ps. "Flora"

Urodziła się w 1914 roku w Kowlu na Wołyniu, wykształcenie średnie posiadająca dyplom wykwalifikowanej pielęgniarki, przed wojną była czynną harcerką i do 1939 roku prowadziła w harcerstwie szkolenie w zakresie udzielaniu pierwszej pomocy sanitarnej. W 1939 roku pracuje jako pielęgniarka, zmobilizowana do 2-jej Kadry Zapasowego Szpitala Polewego w Lublinie.

Po zakończeniu kampanii wrześniowej nadal pracuje w szpitalnictwie. Od stycznia 1942 do lutego 1944 pracuje w szpitalu w Lubomlu.

W tym okresie wraz z pomocą pracą w konspiracji, gromadzi leki materiały opatrunkowe, narzędzia chirurgiczne, wszystko idzie drogą konspiracyjną do oddziałów partyzanckich w lesie, lecz rannych żołnierzy w szpitalu w którym pracuje.

W marcu 1944 r. zostaje skierowana do w teren jako sanitariuszka w bat. per. "Korda" - Kazimierza Filipowicza.

Gdy Dywizja po przebieciu się z okrażeń, odchodzi w kierunku zachodnim poza Bug, postanowiono sforsować tor kolejowy koło stacji kolejowej pod Jagodzinem.

Oddział per. "Korda" przeszedł tor pierwszej nocy i wyruszył na północ w kierunku lasów Szackich. Kiedy po kilkunastu dniach uporeczywego marszu, żołnierze zobaczyli na horyzoncie wielki kompleks leśny - odetchnęli, nareszcie oddechnęli, ale i tu niemiecy nękają dywizję bronią maszynową i samolotami.

"Pamiętam to było 22 maja 44 r. były moje urodziny imieniny, narzyłam o domu i bliskich, pewnie mama zrobiła by niespodziankę - upiekła placzek. Tu w lesie dowódca składając życzenia powiedział - nie mogę Ci nawet podarować kawałka chleba, bo go nie mamy".

Wobec perspektywy dalszych zaciętych walk, oraz forsownych marszów przez bagna polesia, major "Kowal" - Jan Szatewski podejmuje decyzję pozostawienia ciężkiej rannych żołnierzy na wysypce wśród niedostępnych bagien., z nimi jako kwalifikowana pielęgniarka na ochotnika zostaje "Flora".

Wśród rannych znajduje się per. "Lech" - Jerzy Fiederow, ogółem było ich 30-tu. Został przydzielony do pomocy podchorąży "Krótki" Witold Siwadłowski, oraz ochrona szpitala z per. "Zagłobą" na czele.

Pokrzepiona na duchu, patrzyłam dłużej za odchodzącymi. Chwilę tę nie zapomniałam do śmierci. Kto nie był w partyzance, ten nie jest w stanie zrozumieć, co czuje żołnierz wytracony przez las z wakacji, pozostawiony na pastwę losu w niebezpiecznej strefie przyfrontowej.



Ochrona przystąpiła do budowania szałasów. Przeprowadziłam selekcję rannych, na tak zwaną chirurgię czystą i brudną. Chęrzy bez temperatury i zakażenia związanego z ranami zostali umieszczeni w jednych szałasach, a pozostali w drugich. Łącznie miałam 5 szałasów.

Wśród rannych był również porucznik "Szymula" - Jan Matysko z batalionu per. "Korda", nie był ranny, przyprowadzono go z bólami brzucha. Początkowo myślałam, że to zwykła niestrawność, ale kiedy stan zaczął się pogarszać, zrozumiałam, że to może być ostrzy wyrostek Brzucha coraz bardziej napięty i obolały, zaczyna się perytyenit / zapalenie otrzewnej/. Chęry błaga żeby go ratować.

Cóż mogłam zrobić, do Brzeźcia daleko, a tam tylko mogłam go odwiedzić. Prosiłam we wsi chłepów, ale nikt nie chciał podjąć się tej wyprawy. Matysko był pierwszym, który zmarł na wyspie.

Powstał wielki popłoch wśród rannych. Sama przeżywałam dramat, musiałam teraz pocieszać ich i uspokajać. Miałam trochę luminalu w tabletkach, wszystkim go aplikowałam, by chociaż na krótki czas złagodzić cierpienie.

Trzeba było pogrzebać zwłoki, wykopano więc grób na naszej wyspie i bez trumny, tylko w mundurze oficera polskiego, pochowane zmarłego ze wszystkimi honorami, tak jak chowa się żołnierzy.

Na usypanej mogile u wozgłowa, postawiono krzyż brzozy, a na nim powieszono czapkę oficerską i na małej deszczuńce, wyciętej z tej samej brzozy wypisano, imię, nazwisko oraz datę śmierci.

Te było wszystko, co mogliśmy uczynić, aby po nim została pamięć. Życie teżyło się dalej, trzeba było myśleć o żywych, codzienne prace i wysiłek, aby moim rannym, nie dawały mi spokoju. Całe szezęł się, że pogoda dopisywała. Okolica była spokojna, narazie nie nam nie zagrażało ze strony wroga, ale wśród się inny niepokój - walka o życie moich chłepów.

Miałam jeszcze dwóch chłepów w bardzo ciężkim stanie. Jeden z nich to był "Michałko" - Jan Muzykant, którego wkrótce śmierć zabrała. Zmarł również w niedługim czasie żołnierz "Wołodyjewski".

Niemcy byli we wsi. Nikt na s chyba nie wydał. Kiedy następnego dnia udałam się po prowiant do mojej gospodyni, jak mnie zobaczyła te pierwsze jej słowa były: uciekajcie z tą, bo Niemcy coś podejrzewają i planują wyprawę na wyspę". Zapętałam kobietę, jak many uciekać, przecież wie doskonale, że ranni nie mogą iść, muszą mieć jakiś transport, bo inaczej Niemcy nas zagarną jak kaczki. Widocznie żał jej się zrobiło moich żołnierzy i mnie, bo powiedziała, że nie znajdzie chętnych i ci nas ~~przebieżają~~ na inne miejsce postoju, ale to będzie kosztowne. Poprosiłam ją o skontaktowanie



z przewodnikiem, który nas wyprowadzi z niebezpiecznego miejsca. Chętnie to uczyniła i zaprowadziła mnie do jednego z miejscowych chłepów.

Tego dnia do obozu wróciłam bez prowiantu. W nocy po długim oczekiwaniu usłyszeliśmy turkot furmanek, detrzykali obietnicy. Wstąpiła w nas otucha, że będziemy uratowani.

Zaczęto rannych ładować na wozy. Trudno to było nazwać, transportem rannych, byli poukładani jak śledzie w beczce, a do tego dookadziły bagaże i breń. Zdrowi szli pieszo i stanwili naszą ochronę. Pożegnaliśmy wyspę z ciężkim sercem, pozostawiając na niej trzy świeże nogiły.

O świcie znaleźliśmy się na podobnej wyspie. Przewoźnicy pomogli znieść rannych, którzy zostali poukładani na trawie pod drzewami. Pozostawili nam jeden wóz i konia, by w razie jakiegoś niebezpieczeństwa, łatwiej nam było uciekać.

Na naszym miejscu postoju nie budowaliśmy szałasów i choroby leżeli pod sosnami, pogoda dopisywała, było słonecznie i ciepło. Plaga stały się komary. Z nowego pustkiewia musiałam nawiązać kontakt z pobliskiej wsi, by zaopatrywać rannych w żywność.

Wioska ta nazywała się Antenowe. Bardzo szybko udało mi się zaprzyjaźnić z jedną mieszkanką tej wsi, której dom stał tuż na skraju lasu. U niej otrzymywałam prowiant.

Czas mijał szybko, był już czerwiec. Oderwani od oddziałów straliłmy z nimi kontakt i nie wiedzieliśmy, gdzie się znajdują.

Byliśmy osamotnieni wśród głuszy leśnej. Cieszyłam się, że moi podopieczni czują się coraz lepiej: rany się goiły, powoli wracali do zdrowia. Żołnierze przydzieleni do pomocy rannym dawno nas opuścili. I wtedy trzeba było znów zmienić miejsce naszego obozu.

Nawiązałam kontakt z księdzem i sełtyszem w Zaściu. Te mi radzili aby przewiezieniem rannych zajął się syn, gospodarz, u której zaopatrywałam się w żywność. Nazywał się Maks. Był to inteligentny i rozprytny chłepiec, a jał się dowiedzieć, z czym przychodzę, z miejsca mnie zapewnił o swojej pomocy i powiedział, abym się między innymi nie martwiła. On w nocy przyjedzie i wywiezie nas z tej wyspy.

Dał słowo i je detrzymał. O świcie byliśmy już w Zaściu z tym, że Maks z rannymi od razu wjechał w las, a ja poszłam do sełtysa.

Jak mnie zobaczył zapytał: czy stało się coś złego? strasznie pani źle wygląda, odpowiedziała, że jestem tu z rannymi i potrzebuję jego pomocy. Jak stały mieszkanie Zaścia znał każdy zakamarek tej okolicy. Kazał Maksowi zabrać trochę siana na wóz, które miało służyć do wyścielenia legowisk dla rannych. Po załadowaniu siana nikt by nie przypuszczał, że pod nim są jacyś ludzie. Maks zasiał



kenie i ruczył za przewodnikien, cołtysem. Niebawem cozen maszyn ukazała się piękna pelana, w tym czasie okapana w promieniach słońca, a prócz tego na polanie stał okazały szafar, "tu Was nikt nie znajdziem możecie być spokojni"-powiedział cołtyse. Tym razem mieliśmy daek nad głową.

Po ostatecznym rozlokowaniu rannych, musiałam nawiązać kontakt z miejscowym księdzem -nazywał się Zapaśnik-oznaimił mi, że nie muszę o nie martwić, wyżywicacie on sam załatwi a ludzie napewno nie odmówią pomocy. Trzy razy dziennie chodziła po gotowe posiłki do wsi. To była ogromna pomoc. kTóregoś dnia cołtyse nas powiadomił, o zajęciu Brześcia przez regularną Armię Radziecką i że Niemcy uciekają w popłochu. Ta wiadomość bardzo nas ucieszyła, wiedzieliśmy, że Polska będzie wolna.

Następna wiadomość otrzymana od cołtyse, że partyzanci niech wychodzą z lasu i meldują się w sztabie partyzantki radzieckiej u pułkownika Czerniakowa.

Ja jako mieszkanka Kowla zostałam zwolniona do domu, gdzie detarżam po 2 dwóch dniach pieszej wycieczki.

Jak że przykre mi było reztawać się z moimi chłopcami, a jednocześnie byłam zadowolona z dobrze spełnionego obowiązku, wobec nich i moich przełożonych, którzy mi to zadanie powierzyli.

W miejscu rodzinnym zastałam tylko zgłiszcza i popioły i zgliszcza. "Flora"-Helen dąbrowska swoją postawę została odznaczona najwyższym medalem ~~xxxixxxx~~ Między Narodowym doznaczeniem dla pilgniarok za pomoc rannym i chorym w czasie drugiej wojny światowej w dniu 28.10.1973.r.

Nspomnienie opracowała na podstawie posiadanych materiałów w dniu 20.08.1991. Janina Smigowska - Maszko  
Wesła  
ps. "Dobromesek Jagiera"  
Świąt. kat. par. Świgo -  
kpt. "Jmrego"

### I/3. Materiały uzupełniające relację.

- Biogram Heleny Dąbrowskiej, zamieszczony w pracy M. Teodorowicz "O dziejach..." Opatyn, 1994, s. 42. Kserokopia, 2 egz. K. 2, s. 1-2.
- Kserokopia fragmentu książki J. Turouskiego "Pożoga- walki 27 Łotyńskiego Dywizji AK, 19-10-1990", s. 451-458 K. 8, s. 3-11.
- "Mój szpital na bagnach - siostra "Flora" - Helena Dąbrowska 2 batalionie por. "Korda" w ŚZŻAK Okr. Łotyńskiego - Samotarnia 27 Łotyńskiej Dywizji Piechoty AK Koralin 2004." str. 6-10. Kserokopia całej książki w Bibliotece Fundacji
- Kserokopia certyfikatu "Helena Dąbrowska, "Flora" - wy ciele 2 Fotografiz. WTK - Typodruk Katolicki Warszawa - Wrocław 2 du-7-III. 1965. K. 1. s. 12





i

DAŁBROWSKA Helena ps. „Flora”

4K  
L. 2004

1)3-1

Helena Dąbrowska „Flora”, c. Feliksa, ur. 1 maja 1914 r. w Kowlu, pracowała jako pielęgniarka w Rejonowym Szpitalu w Maciejowie. W tym czasie likwidowano Żydów. Flora ukrywała pielęgniarkę-Żydówkę. Gdy przeniosła się do pracy w Lubomlu, wspólnie z dyrektorem szpitala zorganizowała konspiracyjną placówkę służby zdrowia. Przysięgę złożyła 2 lutego 1942 r. Jako przełożona pielęgniarek miała nadzór nad apteką oraz magazynami z bielizną i środkami sanitarnymi. W okresie „Burzy” nawiązano kontakt z 27 DP i wówczas przez łączników dostarczała potrzebne materiały polowym szpitalom dywizji. Przechowywała także dostarczaną broń i przekazywała łącznikom do grup leśnych. W szpitalu leczono rannych w boju partyzantów, którym zakładano „lewe” karty choroby. W marcu 1944 r. „Flora” dostała rozkaz dołączenia do 27 DP. Na polecenie dowództwa zorganizowała szpital polowy w nadleśnictwie w Jagodzinie. Odwiedzała rannych i chorych partyzantów, rozlokowanych w chatkach okolicznych Polaków.

W maju dywizja stoczyła kilka bitew w lasach mosurskich i szackich. Trzeba było opatrywać rannych, grzebać zabitych. Na wyspie i lasach szackich wśród bagien zorganizowała szpital polowy. Po wkroczeniu wojsk radzieckich szpital rozwiązano. Wróciła wtedy na zgliszcza domu, spalonego podczas toczących się walk. Po wojnie zam. w Olsztynie. Odznaczona KKOOP, MZiW i in.

Teodorowicz M. „O olzieńskich...”  
11 Paź 99 Olsztyn 1994, s. 42 B. FAPAK

i  
DĄBROWSKA Helena <sup>1.1844/15K</sup> ps. „Flora” <sup>4K</sup>

1/3-2  
Helena Dąbrowska „Flora”, c. Feliksa, ur. 1 maja 1914 r. w Kowlu, pracowała jako pielęgniarka w Rejonowym Szpitalu w Maciejowie. W tym czasie likwidowano Żydów. Flora ukrywała pielęgniarkę-Żydówkę. Gdy przeniosła się do pracy w Lubomlu, wspólnie z dyrektorem szpitala zorganizowała konspiracyjną placówkę służby zdrowia. Przysięgę złożyła 2 lutego 1942 r. Jako przełożona pielęgniarek miała nadzór nad apteką oraz magazynami z bielizną i środkami sanitarnymi. W okresie „Burzy” nawiązano kontakt z 27 DP i wówczas przez łączników dostarczała potrzebne materiały polowym szpitalom dywizji. Przechowywała także dostarczaną broń i przekazywała łącznikom do grup leśnych. W szpitalu leczono rannych w boju partyzantów, którym zakładano „lewe” karty choroby. W marcu 1944 r. „Flora” dostała rozkaz dołączenia do 27 DP. Na polecenie dowództwa zorganizowała szpital polowy w nadleśnictwie w Jagodzinie. Odwiedzała rannych i chorych partyzantów, rozlokowanych w chatkach okolicznych Polaków.

W maju dywizja stoczyła kilka bitew w lasach mosurskich i szackich. Trzeba było opatrywać rannych, grzebać zabitych. Na wyspie i lasach szackich wśród bagien zorganizowała szpital polowy. Po wkroczeniu wojsk radzieckich szpital rozwiązano. Wróciła wtedy na zgliszcza domu, spalonego podczas toczących się walk. Po wojnie zam. w Olsztynie. Odznaczona KKOOP, MZiW i in.

Teodorowicz M. O olzieńszczytach z tamtych lat.  
11 Paź 99 Olsztyn 1994, S. 42 B. FAPAK

T 1844/15K

ELŻBIETY Z  
DĄBROWSKA HELENA  
ps. „Flora”



niej, szczególnie gdy dostał się do obozu jenieckiego w Okszowie pod Chełmem Lubelskim, gdzie gehennę przeżyli żołnierze ze szpitala polowego polskiej dywizji.

1/3-3

### Szpital siostry „Flory”

Wychodząc z okrążeń w lasach szackich, dnia 2 maja 1944 r., 27 Wołyńska Dywizja AK została podzielona na trzy kolumny, szukające wyjścia różnymi drogami. Kolumna dowodzona przez mjr. Tadeusza Sztumberk-Rychtera „Żegotę” skierowała się na zachód, w stronę Bugu i część jej z dowódcą 28 maja przekroczyła Bug przechodząc na Lubelszczyznę. Kolumna kpt. Kazimierza Rzaniaka „Gardy” — dnia 27 maja krwawo forsowała Prypeć przechodząc linię frontu na stronę radziecką. Trzecia kolumna dowodzona przez mjr. Jana Szatowskiego „Kowala” szła również za front, postępując w zasadzie śladami kolumny kpt. „Gardy”.

Dnia 28 maja 1944 r., po siedmiu dniach morderczego marszu, znalazł się mjr „Kowal” ze swoim wojskiem około 15 km na zachód od Dywina, zamierzając w dniach następnych forsować Prypeć.

Przejsiecie jednak frontu wymagało jeszcze ogromnego wysiłku i hartu żołnierskiego, kiedy ludzie byli na granicy sił fizycznych i psychicznych. Ogromnym obciążeniem dla oddziału w czasie marszu byli ranni niesieni przez żołnierzy. Ranni ci rodzili uzasadniony niepokój podczas przygotowań do przejścia frontu, kiedy nie wykluczono zdecydowanej walki. W ciężkim marszu, w boju, opieka nad nimi była problematyczna, nie mówiąc już o stałym ograniczaniu operatywności oddziałów.

W tej sytuacji zdecydował mjr „Kowal” zostawić rannych pod odpowiednią opieką, w odpowiednio ukrytym miejscu, zabezpieczając im możliwość przetrwania aż do przesunięcia się frontu na zachód. Tak więc wybrano dzięki i niedostępne ostępy leśne w rejonie wsi Dropiejewicze, dokąd na bagnistą wysepkę otoczoną rozlewiskiem przeniesiono ośmiu ciężiej rannych i chorych żołnierzy. Do sprawowania opieki lekarskiej nad nimi ochotniczo zgłosiła się kwalifikowana i ofiarna sanitariuszka Helena Dąbrowska „Flora” z batalionu „Korda”. Do pomocy jej przydzielono sanitariusza z batalionu „Sokoła” podchorążego Witolda Siwadłowskiego „Krótkiego”. Wydzielono też z batalionu „Korda” grupę zdrowych żołnierzy na czele z szer. Andrzejem Kostarskim „Ikarem”, dla pomocy fizycznej i ochrony tego szpitala. Każdy z rannych otrzymał po 10 dolarów, a po kilkadziesiąt dolarów otrzymali siostra „Flora” oraz szer. „Ikar” z przeznaczeniem ich na zakup żywności. Niezależnie od tego mjr „Kowal” odpowiednio opłacił miejscowego gospodarza, Białorusina, który zobowiązał się do opieki nad tym szpitalem.

Tymczasem pod koniec 28 maja mjr „Kowal” spotkał się z oficerem radzieckiej partyzantki, który doniósł mu o tragicznych losach kolumny kpt.



„Gardy” podczas przebijania się przez front bez uprzedzenia wojsk radzieckich. Wiadomość tę potwierdził patrol wysłany wcześniej przez mjr. „Kowala”.

Słyszac co zaszło, mjr „Kowal” nie chciał podejmować ryzyka przechodzenia frontu bez wcześniejszego kontaktu z radziecką linią frontu. Odradzali mu też to ryzyko partyzanci radzieccy. Zmienił więc swoje pierwotne zamierzenia i zamiast w kierunku frontu postanowił maszerować ze swoim wojskiem, na północ do Puszczy Białowieskiej. Utrzymał jednak decyzję o pozostawieniu rannych, gdyż nowa trasa była nie mniej trudna.

Po południu dnia 29 maja 1944 r., kolumna była gotowa do kolejnego etapu swojego niekończącego się marszu. Na wysepkę z rannymi przybył mjr „Kowal” z kilkoma oficerami oraz obaj kapelani wojskowi ks. „Prawdzic” i ks. „Rafał”. Major przeprowadził dłuższą rozmowę z siostrą „Florą”, dając jej wskazówki co do dalszego postępowania, przekazując kontakty we wsi celem zaopatrzenia się w żywność. Ustalił też, że ranni, którzy wrócą do zdrowia, będą mogli powrócić do swojego oddziału bądź też do domu, czując się zwolnionymi ze służby. Nastąpiło wreszcie przykre pożegnanie. Na nową, nieznaną drogę odchodzili zdrowi, nieznanym był los pozostałych rannych i chorych żołnierzy wytraconych z walki. Księża kapelani błogosławili rannych oraz siostrę „Florę”, która na swoje barki brała ich los. Długo „Flora” patrzyła za odchodzącymi oficerami pełna lęku, ze ściśniętym sercem. Bała się odpowiedzialności, bała się tego „nieznanego” w tych trudnych warunkach, w tej okropnej sytuacji przyfrontowej.

Wróciła jednak do rzeczywistości. Patrząc na rannych leżących na noszach myślała, jak urządzić ten „lazaret”. Po naradzie ze zdrowymi żołnierzami, wszyscy z energią zabrali się do wycinania gałęzi i budowania szałasów. Wkrótce stanęło 5 sporych szałasów mogących pomieścić wszystkich. Teraz „Flora” dokonała selekcji rannych, oddzielnie umieszczając chorych z temperaturą, oddzielnie nie gorączkujących. Wśród chorych byli dwaj oficerowie: pchor. Jerzy Fiedorow „Lech” z batalionu „Sokola” z postrzelonym kolanem oraz ppor. Jan Matysko „Szymula” z batalionu „Korda” z ostrymi bólami brzucha. Ciężko ranni byli szer. Jan Muzyka „Michalczuk”, zwany „Michałkiem” z przestrzelonym kolanem z ropiejącymi ranami oraz Tadeusz Moniczewski „Wołodyjowski”, ranny od pocisku artyleryjskiego, z licznymi, niewielkimi, ale głębokimi ranami na całym ciele. Pozostali byli lżej ranni.

Po przespaniu pierwszej nocy na wyspie, siostra „Flora” poszła do wsi, gdzie spotkała wskazanych przez mjr. „Kowala” gospodarzy. Zaopatrzyła się u nich w chleb, mleko, kaszę, nie mogąc jednak dostać mięsa, tłuszczu ani soli, bardzo potrzebnych rannym. Otrzymała też wiadro do noszenia wody oraz kociołek do gotowania potraw. Gdy wróciła na wysepkę, zaraz chłopcy urządzili palenisko z zawieszeniem dla kociołka, a wkrótce wszyscy spożyli śniadanie, jakiego dawno nie jedli. Ogromnie smakowała kasza na mleku z chlebem. Posiłki spożywano trzy razy dziennie, korzystając z zapasów, które co rano przynosiła siostra „Flora”. Wodę pili ze strumyka, mimo że zalaty-

wała błotem, była nio korzystali z k przegotowanej, n było herbaty ani l swoje mamy, któr ce. Wokół było ci czory pełne majo z lekkim welonen czarowi ranni i zc mnienia, tęskniąc teraz ich koledzy,

Siostra „Flora” dźci do wsi po ży ców. Wstawiała w i niosła ją do obo: myjąc ich i zmier nieraz nie wierzył trunkowe i leki. Nie było ligniny Miała tylko resztł

Tymczasem st Brzuch miał cora skutek ostrego za błagał o ratunek, Najbliższy szpital Poszła więc do w nie chciał ryzyko może i tak było j nia ppor. „Szym Śmierć zawitała r pozbawieni pomo koili się nieco z k od obozu wykopa w pełnym mundu ką. Nad mogiłą c było to wskazane nierzowi, bez wzię wy krzyż, na nin z napisem WP. D szczając na niej i zmarłego.

Siostra „Flora” kała, długo płaka oraz lęk o innych



1/3-5

wała błotem, była bez porównania lepsza od wody bagiennej, z jakiej ostatnio korzystali z konieczności. Dla gorączkujących był zawsze zapas wody przegotowanej, mieli pragnienie, pili dużo. Niczego innego nie mieli. Nie było herbaty ani kompotu. Za nim szczególnie tęsknili chorzy, wspominając swoje mamy, które niestety tutaj nie mogły im pomóc. Tak mijały dnie i noce. Wokół było cicho i spokojnie. W tej dżicy szczególnie piękne były wieczory pełne majowego rechotu żab, tajemniczego czaru poleskich rozlewisk z lekkim welonem mgieł, ze swoistą zadumą zarośli i drzew. Ulegali temu czarowi ranni i zdrowi prowadząc długie wieczorne rozmowy, snując wspomnienia, tęskniąc za domem, za najbliższymi, dociekając, co robią i gdzie są teraz ich koledzy, którzy poszli jeszcze walczyć.

Siostra „Flora” miała pełne ręce roboty. Jako jedyna kobieta, mogła chodzić do wsi po żywność nie budząc podejrzeń na wypadek spotkania Niemców. Wstawiała więc o świcie, szła przez rozlewisko do wsi, zbierała żywność i niosła ją do obozu. Organizowała gotowanie posiłków, opatrywała rannych myjąc ich i zmieniając opatrunki, niosąc im ulgę i pociechę, w którą sama nieraz nie wierzyła. Ogromną troską napawały ją kończące się środki opatrunkowe i leki. Brakowało gazy, gotowe opatrunki były na wyczerpaniu. Nie było ligniny ani waty. Kończyły się leki pełniące rolę antybiotyków. Miała tylko resztki streptocidu i prontosylu, które wtedy były w użyciu.

Tymczasem stan zdrowia ppor. „Szymuli” pogarszał się z dnia na dzień. Brzuch miał coraz bardziej obolały. Siostra „Flora” zrozumiała, że to na skutek ostrego zapalenia wyrostka, następowało zapalenie otrzewnej. Chory błagał o ratunek, ale cóż mogła zrobić? Tu był potrzebny zabieg szpitalny. Najbliższy szpital był dopiero w Brześciu nad Bugiem odległym o 30 km. Poszła więc do wsi. Prosiła gospodarzy, obiecywała sowitą opłatę, ale nikt nie chciał ryzykować takiej wyprawy w tych przyfrontowych warunkach. Być może i tak było już za późno na operację. Któregoś czerwcowego popołudnia ppor. „Szymula” zmarł. Pośród rannych powstało duże poruszenie. Śmierć zawitała na ich pustkowie, śmierć tylko dlatego, że byli opuszczeni, pozbawieni pomocy szpitalnej. Każdego z nich może to spotkać. Kiedy uspokoiili się nieco z konieczności godząc się z takim losem, w pewnym oddaleniu od obozu wykopali grób, w którym pochowali porucznika bez trumny, ale w pełnym mundurze polskiego oficera. Jedynie twarz przykryli mu chusteczką. Nad mogiłą oddali chłopcy salwę honorową, mimo że w ich sytuacji nie było to wskazane. Byli jednak zdania, że salwa honorowa należała się żołnierzowi, bez względu na okoliczności. Na usypanej mogile ustawili brzozy krzyż, na nim umieścili czapkę porucznika oraz opaskę biało-czerwoną z napisem WP. Do krzyża przybili małą tabliczkę wystruganą z brzozy, umieszczając na niej napis z imieniem, nazwiskiem, pseudonimem i datą śmierci zmarłego.

Siostra „Flora” nie brała udziału w pogrzebie. Zaszyła się w zarośla i płakała, długo płakała. We łzach topiła swój żal za zmarłym, swoją bezradność oraz lęk o innych rannych i o siebie.



2/3-6

Mimo że śmierć ppor. „Szymuli” cieniem smutku położyła się wśród zdrowych i chorych tego szpitalika, to jednak życie było silniejsze. Żywi musieli żyć. Nastąpiły dni podobne do poprzednich. Siostra „Flora” martwiła się ogromnie, bo leki jej skończyły się zupełnie. Pozostał tylko rywanol w tabletkach. Rozcieńczała więc go w wodzie i z płynu tego robiła okłady. Trochę to przynosiło ulgę chorym. Śmierć jednak znowu zawitała do obozu, znowu zabrała jedną ofiarę. Tym razem pogorszył się stan zdrowia Jana Muzyki „Michałka”. Postrzelone kolano ogromnie spuchło, rany były zaognione, ropiały, a temperatura dochodziła u niego do 40°. W końcu pojawiła się zgorzel gazowa. Nie było dla niego ratunku. Jeżeli mogło coś go uratować to wysoka amputacja nogi i odpowiednie leki, a przede wszystkim surowica przeciw zgorzeli. Amputacji jednak nie można było wykonać, leków nie można było zdobyć. W końcu w ciężkich męczarniach „Michałko” zmarł. Umierając tklivymi słowami wzywał swoją mamę, a ostatnim rozpaczliwym okrzykiem było: „Niech żyje Polska”.

„Michałka” pochowano obok ppor. „Szymuli” z podobnym swoistym ceremoniałem. Na wyspie były już dwie mogiły z dwoma brzozowymi krzyżami.

Teraz siostra „Flora” drżała na myśl o zgorzeli u innych rannych, ale jakoś szczęśliwie nie było tych objawów. Życie na wyspie toczyło się dalej swoim trybem. Opatrunki rannym zmieniała często, gotując zużytą gazę bądź robiąc szarpie z lnianego płótna otrzymanego ze wsi. Oczyszczała rany i wystawiała je na dobroczynne działanie słońca, wskutek czego rany obsychały i ładnie się goiły. Ale nie u wszystkich. W ciężkim stanie był stale „Wołodyjowski”. Wbrew pierwotnym przypuszczeniom jego liczne rany, w których uwięzły odłamki, okazały się głębokie. Zaczął gorączkować, nastąpiło ogólne zakażenie. Temperatura nie ustępowała, zaczął majaczyć, aż któregoś wieczoru zmarł nie odzyskując przytomności.

A więc trzecia ofiara śmiertelna. Powtórzyła się smutna uroczystość pogrzebowa, urosła trzecia mogiła, trzeci brzozowy krzyż stanął w szeregu, obok dwóch poprzednich. Trzecia salwa honorowa pożegnała zmarłego, ale tym razem groziła żywym.

Dnia następnego dowiedziała się „Flora” we wsi, że byli tam Niemcy i tę salwę słyszeli. Należało się spodziewać ich wizyty. Przy wykorzystaniu życzliwości zaprzyjaźnionych gospodarzy, kusząc odpowiednią opłatą, udało się siostrze znaleźć chętnych, którzy obiecali nocą przewieźć szpital furmankami do innego bezpiecznego miejsca. Kiedy wróciła na wyspę z takimi wiadomościami, żołnierze natychmiast zaczęli likwidować obóz przygotowując wszystko do transportu. Wystawiono posterunki obserwacyjne z niecierpliwością oczekując nocy, w obawie, by Niemcy nie przyszli w ciągu dnia. Zapadł zmierzch, a wkrótce okolica zanurzyła się w ciemnościach. Furmanek nie było. Wśród żołnierzy zaczęło się wkradać zwątpienie. A jeśli furmanki nie przyjadą?

Jakoż jednak około godz. 23<sup>00</sup> dało się słyszeć skrzyp furmanek i stąpanie

koni po wodzie. wozy. Było bardzo i broń rannych. Z dając, wszyscy, kt Salutowali im i że

Po kilku godzinach wyspie co poprzez Furmani pomogli zostawili nawet w gospodarza. Na n zeli pod drzewami jednak dla rannych Z nowego pustkowi wa, a szczególnie lasu. Od niej otrzy nio, wytrwale nos

Czas mijał jednak zupełnie pozbawia nych kontaktów z goiły się, powoli v odeszło z obozu w

Którejś niedzieli „Flora” podjęła c nad Bugiem, celeb ni przebrana za w trzymywana przez że idzie — jak m nie dał wiary tej wiadowcy niemiec zanci uwierzyli, o lice wyjątkowo n dziewczynę bez m stąpi kres niewoli obozu na przełaj, partyzanckimi. Id mana przez polski rejonu Brześćcia na stale śladami dywi

Już wieczorem szło i dlaczego nie

Kolejną wyprazaoście, ale tym rny kpr. pchor. Ar wszystkim udali s



koni po wodzie. Wszyscy odetchnęli. Zaraz rannych zaczęto ładować na wozy. Było bardzo ciasno, gdyż dochodziły jeszcze garnki, różny sprzęt i broń rannych. Zdrowi szli pieszo i stanowili ochronę transportu. Odchodząc, wszyscy, którzy mogli, odwiedzili mogiły zmarłych towarzyszy broni. Salutowali im i żegnali na wieczny sen. Tym wróg już nie mógł nic zrobić.

Po kilku godzinach ostrożnej jazdy cały szpital znalazł się na podobnej wyspie co poprzednia, położonej na rozlewiskach niedaleko wsi Antonowo. Furmani pomogli znieść rannych, układając ich na trawie pod drzewami. Pozostawili nawet wóz i konia, który zresztą po kilku dniach uciekł do swego gospodarza. Na nowym miejscu postoju nie budowano szałasów, chorzy leżeli pod drzewami. Pogoda dopisywała, dni były ciepłe, słoneczne. Plagą jednak dla rannych były wielkie komary, które bardzo wszystkim dokuczały. Z nowego pustkowiecia siostra „Flora” nawiązała kontakt z ludnością Antonowa, a szczególnie zdobyła życzliwość i zaufanie gospodyni z domu na skraju lasu. Od niej otrzymywała najkonieczniejsze produkty, które, jak poprzednio, wytrwale nosiła do obozu.

Czas mijał jednak powoli, minęła połowa czerwca. Szpital „Flory” był zupełnie pozbawiony jakichkolwiek wiadomości ze świata, nie miał też żadnych kontaktów z oddziałami dywizji. Ranni czuli się coraz lepiej, ich rany goiły się, powoli wracali do zdrowia. Kilku z nich odpowiednio podleczonego odeszło z obozu w poszukiwaniu swoich oddziałów.

Którejś niedzieli, podczas rozmowy z chorymi o bieżącej sytuacji, siostra „Flora” podjęła decyzję udania się pieszo do odległego o 30 km Brześcia nad Bugiem, celem zasięgnięcia informacji. Przy pomocy życzliwej gospodyni przebrana za wiejską dziewczynę ruszyła w drogę. Była dwukrotnie zatrzymywana przez patrole partyzantki radzieckiej, ale puszczono ją wierząc, że idzie — jak mówiła — do chorego ojca w Brześciu. Trzeci jednak patrol nie dał wiary tej naiwnej bajeczce. „Florze” groziło rozstrzelanie jako wywiadowcy niemieckiemu, toteż powiedziała prawdę. Teraz radzieccy partyzanci uwierzyli, odradzali jednak stanowczo dalszą wędrówkę. Brześć i okolice wyjątkowo nasycone były Niemcami, którzy łatwo mogli pochwyć dziewczynę bez miejscowych dokumentów. Pocieszona, że już niedługo nastąpi kres niewoli niemieckiej, zawróciła „Flora” do swoich. Szła teraz do obozu na przełaj, omijając drogi, nie chcąc znowu spotkać się z patrolami partyzanckimi. Idąc tak ścieżką przez wysokie zarośla została nagle zatrzymana przez polski posterunek ubezpieczeniowy. Okazało się, że aż tutaj do rejonu Brześcia nad Bugiem dotarł por. „Jastrząb” ze swoim oddziałem, idąc stale śladami dywizji, po wyrwaniu się z okrążenia w lasach mosurskich.

Już wieczorem wróciła „Flora” do swoich chorych. Opowiedziała, co zażyczyło i dlaczego nie dotarła do Brześcia.

Kolejną wyprawę po wiadomości ze świata podjęła do polskiej kolonii Zaoście, ale tym razem towarzyszył jej bystry chłopak, dobrze już podleczonego kpr. pchor. Artur Makuch „Babinicz”, zwany w obozie Markiem. Przede wszystkim udali się na plebanię do księdza (chyba Zapaśnika), który był



1/3-8

bardzo zdziwiony widząc polskiego partyzanta z pistoletem maszynowym i z pistoletem polską dziewczynę. Przyjął ich jednak bardzo życzliwie, zaprosił na obiad, a w dalszej rozmowie doradzał, by po bardziej wiarygodne wiadomości udać się do miejscowego sołtysa. Sołtys, dobry Polak, ale też niewiele wiedział, a już nic nie mógł powiedzieć o oddziałach polskiej dywizji. Słyszając jednak, w jakich warunkach przebywają ranni, okazał wiele troski i życzliwości dając zapewnienie, że udzieli im wszelkiej możliwej pomocy. To było ogromnie krzepiące dla całej grupy. Tu raz jeszcze przejawiał się głęboki patriotyzm kresowych Polaków.

Wracając z Zaościa oboje wywiadowcy pobłądzili i weszli do jakiejś osady zajętej przez Niemców. Uprzedzeni przez ludzi, których pobudzili, pośpiesznie opuścili wioskę. Przechodząc chwiejącą się kładką przez niewielki strumyk, oboje wpadli do wody. Przemoczeni do „suchej nitki”, wrócili do obozu już po północy.

Następnego dnia, kiedy wszyscy siedzieli wokół ogniska, na którym gotowały się strzykawki, a siostra i Marek opowiadali o swojej wyprawie do Zaościa, o księdzu i sołtysie, wyczulone uszy partyzantów uchwyciły odgłosy człapania po wodzie. Ktoś zbliżał się do wyspy. Wszyscy zaniepokoiли się, ale stwierdzono zaraz, że to jeździec wyglądający na radzieckiego partyzanta. Wkrótce był on przy ognisku i nie zsiadając z konia zapytał po rosyjsku: „Kto tu jest dowódcą”. Za „komandira” podała się siostra „Flora” oświadczając, że jest pielęgniarką i opiekuje się rannymi polskimi partyzantami. Wówczas ten polecił jej, by udała się za nim do sztabu, bo właśnie o nią mu chodzi. Wobec protestów swoich chłopców, nakazała spokój i poszła za jeźdźcem, obiecując rychły powrót. Po przeszło godzinnym marszu znalazła się w „sztabie”. Tu już ogarnęły ją wątpliwości, czy rzeczywiście ma do czynienia z radziecką partyzantką. „Sztabowcy” zachowywali się obcesowo, arogancko, żądając, by już teraz pozostała u nich i zaopiekowała się ich rannymi. Kiedy siostra ustawicznie tłumaczyła im, że ma obowiązek opiekowania się swoimi rannymi, oświadczyli, że to ich nic nie obchodzi. Była więc pewna, że nie był to oddział partyzancki, lecz jakaś luźna banda rabunkowa. Po długiej jednak rozmowie, przy słabej znajomości języka rosyjskiego „Flory”, stanęło na tym, że polscy ranni nocą zostaną zabrani do ich obozu, a siostra będzie się opiekowała jednym i drugim.

Wyrwała się „Flora” z tego „sztabu” z wielkim zadowoleniem, chcąc, jak najszybciej, dotrzeć do swojego obozu. Tak biegnąc wśród łąk żyta spostrzegła nagle dwóch uzbrojonych osobników. Okazało się, że byli to sanitariusz pchor. „Krótki” oraz pchor. „Babinicz”, którzy pod nieobecność siostry opuścili obóz usiłując na własną rękę dotrzeć za Bug na Lubelszczyznę. Było to ogromnym rozczarowaniem dla siostry „Flory”, gdyż na nich bardzo liczyła. Sytuacja jednak wymagała działania.

Kiedy dotarła do obozu, poruszyła wszystkich swoim opowiadaniem o zamiarach nierozpoznanej bandy, która już wieczorem miała zabrać wszystkich do swojego miejsca postoju. Spodziewano się czegoś najgorszego, gdyż

w interesie bandy i partyzantami. Po o sytuacji księdza Maks podjął się w kojem czekano wi jednak wieczór i na się natomiast nieci dowano cały rynsz O świcie byli w Za ra” poszła do sołty cić na wóz siana d zaprowadził sołty niewielki drewnia uformować poslar ostatni etap party: do Zaościa, gdzie oraz pchor. „Babi obozu. Uparcie p nalegała więc, szc

Na nowym mie ju. Stosunkowo ju i dodawały ranny wi, jedynie niepc mimo że było wyg sztywny staw kola saże i gimnastykę sam cierpliwie i z czy kolegów, póź Teraz pragnął wró niego o furmankę polskich kolejarzy

Tymczasem dr zdobyły Brześć i o ościa zawiadomił by wyszli oni z la kownika Czerniał wskazane miejsce „Florę”, jako mie stawać się ze swo nionego obowiązł żołnierzom powie wla. W miejscu r

\* H. Dąbrowska „Flor



I/3-9

w interesie bandy nie leżało powiększenie swojego obozu i opieka nad rannymi partyzantami. Postanowiono uciekać z zagrożonego miejsca. Powiadomiono o sytuacji księdza i sołtysa w Zaościu, a syn gospodyni, żywicielki szpitala, Maks podjął się wywiezienia całej grupy w inne bezpieczne miejsce. Z niepokojem czekali wieczorem, mając już wszystko spakowane do drogi. Przyszedł jednak wieczór i nastąpiła księżycowa noc, ale nikt z bandy nie przyszedł. Zjawił się natomiast niecierpliwie oczekiwany Maks z koniem i wozem. Na wóz załadowano cały rynsztunek oraz cięższe rannych i nie zwlekając ruszono w drogę. O świcie byli w Zaościu. Maks z rannymi wjechał do sąsiedniego lasu, a „Flora” poszła do sołtysa. Ten natychmiast zajął się sprawą. Kazał Maksowi narzucić na wóz siano dla przykrycia jego właściwego ładunku. Wioząc niby siano, zaprowadził sołtys partyzantów na polanę położoną wśród lasów, gdzie stał niewielki drewniany barak, „buda” pasterska. Sołtys pomógł znieść siano, uformować pośłania, na których ułożono rannych. Zaczął się nowy, ale już ostatni etap partyzanckiej tułaczki tej grupy ludzi. Siostra „Flora” udała się do Zaościa, gdzie u księdza spotkała ukrytych na strychu pchor. „Krótkiego” oraz pchor. „Babinicza”. Byli wycieńczeni i chorzy, ale nie chcieli wracać do obozu. Uparcie pragnęli iść za Bug, by dołączyć do swoich oddziałów. Nie nalegała więc, szczególnie że ksiądz obiecał zaopiekować się nimi.

Na nowym miejscu postoju szpitala siostry „Flory” czas upływał w spokoju. Stosunkowo już teraz dobre wyżywienie, panująca dookoła cisza leczyły i dodawały rannym sił. Nadszedł okres zniw. Wszyscy byli już prawie zdrowi, jedynie niepokoiło kolano pchor. Jerzego Fiedorowa „Lecha”, które mimo że było wygojone, ale na skutek długiego unieruchomienia nogi miało sztywny staw kolanowy. Siostra „Flora” zaczęła więc stosować kąpiele, masaże i gimnastykę. „Lech” całkowicie podporządkował się tym zabiegom, sam cierpliwie i z uporem usiłował chodzić, początkowo przy pomocy siostry czy kolegów, później o lasce, aż w końcu samodzielnie stanął na nogach. Teraz pragnął wrócić do Warszawy, skąd pochodził. Siostra wystarała się dla niego o furmankę. Dotarł on do Brześcia n/Bugiem, a dalej przy pomocy polskich kolejarzy do Warszawy.

Tymczasem dnia 28 lipca 1944 r., po ciężkich walkach wojska radzieckie zdobyły Brześć i opanowały tamtejszą twierdzę. Po paru dniach sołtys z Zaościa zawiadomił grupę polskich partyzantów o poleceniu władz radzieckich, by wyszli oni z lasu i zameldowali się w sztabie partyzantki radzieckiej pułkownika Czerniakowa. Zlikwidowano więc obóz i cała grupa stanęła na wskazane miejsce. Zgrupowani partyzanci mieli udać się do Brześcia. Siostrę „Florę”, jako mieszkankę Kowla, zwolniono do domu. Przykro jej było rozstawać się ze swoimi chłopcami, ale była jednocześnie zadowolona ze spełnionego obowiązku, z faktu, że przeżyła i pomogła przeżyć koszmarny czas żołnierzom powierzonym jej opiece. Po dwóch dniach pieszo dotarła do Kowla. W miejscu rodzinnego domu zastała tylko zgliszczą<sup>26</sup>.

<sup>26</sup> H. Dąbrowska „Flora”, Wspomnienia (1979) — tamże.

13-10

TUROWSKI Józef. „Pozoga”. Walki 27 Wołyńskiej Dywizji AK  
W-ue 1990 PWR. s. 451-458.





2/3-11

Po wojnie, w 1973 r., siostra „Flora” — Helena Dąbrowska za hart ducha i ofiarność, którą wykazała ratując rannych żołnierzy, została odznaczona Międzynarodowym Medalem Florence Nightingale.

### Grupa „Jarosława”

Rozpaczliwy akt przebijania się 27 Wołyńskiej Dywizji AK z okrążenia w lasach mosurskich przyniósł jej znaczne straty w ludziach, pociągnął wiele ofiar. Niezależnie od tych co polegli w walce, wielu żołnierzy tej uwięzionej dywizji dostało się w ręce niemieckie ponosząc śmierć, zapędzając więzienia w Lubomlu, Chełmie, Zamościu, Włodzimierzu Wołyńskim, Lublinie i Hrubieszowie bądź znosząc gehennę obozu jenieckiego w Okszowie pod Chełmem.

Wielu żołnierzy i podoficerów ze szwadronu ppor. Longina Dąbek-Dębickiego „Jarosława” razem ze swoim dowódcą cofnęło się spod torów kolejowych już pierwszego dnia przebijania się z „kotła”, tj. 21 kwietnia 1944 r. Opuścili oni bezpośrednio zagrożony teren, kierując się w stronę Włodzimierza Wołyńskiego, do rejonu swojej bazy wyjściowej. W okolicy Turówki zatrzymali się w luźno rozrzuconych zabudowaniach, gdzie było sporo osób ludności cywilnej, w tym również rodzin walczących żołnierzy. Uformowano tam grupę złożoną z żołnierzy dywizji oraz osób cywilnych, mając zamiar przejścia za Bug na Lubelszczyznę. Termin wymarszu jednak odkładano, gdyż jedna z kobiet bardzo osłabła. Była to fatalna decyzja. Wykorzystał to Ukraińiec mieszkający obok, donosząc Niemcom o kwaterowaniu tam grupy polskich partyzantów. Dnia 23 kwietnia 1944 r. wcześniej rano grupę zabudowań, gdzie przebywali partyzanci i cywile, otoczyli Niemcy zabierając wszystkich do Stanisławowa.

Niektórzy partyzanci zdążyli już pozbyć się oznak oraz ekwipunku wojskowego, dowodzili więc, że są cywilami i z rodzinami zatrzymali się chcąc przeczekać działania wojenne w tej okolicy. Wyglądało to bardzo prawdopodobnie, gdyż niektórzy, szczególnie starsi żołnierze przebrani w ubrania cywilne istotnie byli ze swoimi żonami i dziećmi. Niemcy niezbyt wierzyli tym zapewnieniom, a szczególnie ppor. „Jarosława” oraz jego łączniczki Marii Soroczyńskiej „Stokrotki”, podających się za małżeństwo. „Jarosław” bowiem nie zdążył pozbyć się spodni wojskowych oraz butów ze śladami noszonych ostróg.

Wszystkich trzymano pod strażą. Pod wieczór dnia 23 kwietnia 1944 r., zostali oni wstrząśnięci faktem rozstrzelania przez Niemców w Stanisławowie ponad dwudziestu polskich partyzantów, wziętych do niewoli w trakcie walk lub wyłapanych w terenie po wyjściu dywizji z okrążenia. Żołnierze ci trzymani byli w stodole, gdzie zostali rozebrani, a następnie nadzy z rękami na karku, zapędzeni na skraj osady, gdzie rozstrzelano ich nad uprzednio wyko-

panymi dołami. I Byli przekonani,

Noc jednak m wieziona do Oles ścisłą strażą. Sytu do stodoły, gdzie sława” i „Stokrot Władysław Gorze garek, ten powied zegarek po nalega dołę i zastrzelił. I

Pozostałych z mani pod strażą i kopaniu okopów z żoną i synem d stało z pozostałym

W tym czasie, racji 1 Frontu Bia formowanego na suru, gdzie nieda wspierając piecho

### Grupa „Zagłot

Kiedy po połn AK, wielu spośród część personelu s w lesie. Węgrzy v gdyż pociski szły

Dopiero w od formować niewiel kryjące się w zaro bacznie, czy obław zabranii szpitala i cichy. Jedna z ta czujności pierwszą lasy i siedziała pi jedzona bez chleb i smażona. Z gru Władysława Czerti stali nie chcieli d

<sup>27</sup> Relacja wachm. W. C



1/3-12

# WK

Warszawa  
Wrocław

## TYGODNIK KATOLIKÓW



Rok XIII Nr 10 (599) 7.III.1965 Cena 1,50 zł



Helena Dąbrowska („Flora”)

# Sześć z pierwszej linii



## Helena DĄBROWSKA (»Flora«)

Urodzona w Kowliu, od najmłodszych lat związała się z harcerstwem, gdzie m. in. zdobyła wykształcenie sanitarne. 1 września 1939 otrzymała przydział do II kadry zapasowej w Lublinie w szpitalu na ul. Lubartowskiej, gdzie przeżyła szereg ciężkich nalołów, po raz pierwszy stykając się z grozą wojny. Po kilku dniach ewakuowana razem ze szpitalem wyjeżdża pod bombami hitlerowskich samolotów w

kierunku Kowla. Po zakończeniu kampanii wrześniowej nadal pracuje w szpitalnictwie.

Od stycznia 1942 r. do lutego 1944 pracuje w szpitalu w Lubomlu. W tym okresie jest już w konspiracji — w „siatce” 27 DP AK. W lutym 1944 zostaje skierowana jako sanitariuszka do służby w oddziałach polowych tej wielkiej jednostki partyzanckiej. Przechodzi cały szlak bojowy 27 dywizji. Wielokrotnie ratuje życie rannym — oddając im swoją krew. Gdy dywizja po przebieciu się z okrężenia odchodzi w kierunku zachodnim, poza Bug — „Flora” zostaje przy rannych. Młodsze sanitariuszki, które były w jej dyspozycji — „Myszka” i „Szyszka” — proponują, że ją zastąpią w pełnieniu tej funkcji. „Flora” odmawia: wie dobrze iż ona najlepiej wywiąże się z obowiązku opieki nad ciężko chorymi i rannymi kolegami. Na małej wyspie wśród bagien, później zaś w zakamarkach leśnych trwa w ciągu kilku tygodni ciężka, uparta walka samotnej dziewczyny z głodem, ropiejącymi ranami, chłodem, walką o życie ciężko rannych żołnierzy. Walka ta przynosi zwycięstwo bohaterkiej sanitariuszce, która po wkroczeniu wojsk radzieckich szczęśli-

wie transportuje do szpitala wszystkich rannych.

Obecnie Helena Dąbrowska jest dyplomowaną pielęgniarką. Mieszka stale w Olsztynie. Studiuje zaocznie na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Aktywnie pracuje na polu społecznym. Jest członkinią ZBoWiD.

J. 1845/WSK

AK  
Wolyn

DABROWSKA Helena  
ps. "Flora"

✓ Nazwiskowe karty informacyjne 1.

B. Rojół 2014.



2

J. 1845 / WSK

AK  
Uolyn

DABROWSKA Helena

ps. "Flora"



B. Ryd 2014

J. 1845 / WSK

DĄBROWSKA Helena  
ps. „Flora”

VI. FOTOGRAFIA - Kserokopia







Poland  
Illustrated Magazine  
N 12 (234) 1974

Kwiatkowski Bronisław  
"Kwiatki"

Dębowska Helena  
"Flora"

Zagowska Andrzej

Gawronski Jan  
"Tęcza"

Lewandowska Renata  
"Kwiatki"



BARBROSKA Helena

